

CHCĘ BYĆ ŚWIĘTYM

„Chcę być świętym”. Można uważać takie oświadczenie za szczyt dumy, ale można też za coś jak najbardziej normalnego dla chrześcijanina. Przecież każdy z nas, kto ufa w życie wieczne, chce osiągnąć niebo po śmierci w obecnym etapie ewolucji Ziemi, a po Sądzie Ostatecznym znaleźć się na Nowej Ziemi opisanej w Janowym Objawieniu. A to właśnie znaczy tyle, że chce być świętym.

Chyba, że ktoś pragnąłby być „wyniesionym na ołtarze”, chciałby aby po śmierci lub jeszcze za życia się do niego modlono, aby malowano takie ładne obrazki z aureolą wokół jego głowy... Jeśli tak ktoś sobie wyobraża skutki swojej świętości, to rzeczywiście byłoby lepiej, aby jej nigdy nie pragnął. Prawdziwym świętym sprawa ich uczczenia przez innych ludzi jest zupełnie obojętna. Za ziemskiego życia służyli usilnie sprawom niebieskim na ziemi, więc i w czasie bytu niebiańskiego są zdolni służyć ziemskim sprawom w sensie potrzeb światów niebieskich.

Mówimy więc o tych, którzy wraz z nami chcą być świętymi w prawidłowy sposób. Święty Paweł Apostoł pisał do chrześcijan w Kolossach „*Wszystkim świętym, którzy są w Kolossach i wiernej braci w Chrystusie Jezusie, łaska wam i pokój*” (Kol 1:2-3). Nie wiemy ilu wówczas było w Kolossach świętych, ani jak liczna była przygotowująca się dopiero do świętości „wierna brać w Chrystusie Jezusie”. W każdym razie z całego listu, a zwłaszcza z jego wstępu wynika, że dążenie do świętości traktowano tam wówczas jako główne zadanie chrześcijanina. Współczesne parafie tym się chyba głównie różnią od ówczesnych wspólnot chrześcijańskich, że obecny przeciętny parafianin myśli o Bogu i o własnym zbawieniu raz w tygodniu, w niedzielę, a zdarza się, że i będąc na niedzielnym nabożeństwie ma myśli zajęte kalkulacjami finansowymi lub marzeniami o nowym samochodzie.

Będąc wśród takich ludzi, bo wśród takich żyć musimy, grozi nam przyjęcie dwu nieprawidłowych postaw. Pierwsza z nich to powiedzenie sobie, że skoro inni uważają, że żyjąc bez pracy nad sobą i myśli o Bogu będą zbawieni, to dlaczego my mamy robić coś więcej niż oni dla naszego zbawienia? A skąd oni wiedzą, że będą zbawieni? Miłosierdzie Boże jest wielkie, ufajmy mu i myślimy dobrze o innych ludziach. Ale sami starajmy się iść tą wąską ścieżką, która na pewno prowadzi poprzez współpracę ze Zbawicielem do zbawienia.

Inną błędną postawą będzie, jeśli wychodząc ze słusznego założenia, że prawdziwy chrześcijanin, prawdziwy uczeń Chrystusa to święty, postanowimy sobie od dziś być w pełni świętymi, od dziś nie robić niczego złego, a zamiast tego robić to wszystko, o czym sądzimy, że powinniśmy robić prawdziwy uczeń Chrystusa.

Takie usiłowanie w jednym momencie zostać całkowicie przemienionym, wyzbyć się zła i przepelnić się dobrem, prawie nigdy nie prowadzi do celu. Znane są wprawdzie przypadki, gdy łaska Boża w taki właśnie sposób przemieniała całkowicie ludzi, ale jeśli będziemy o taką szczególną łaskę prosili dla siebie, to właśnie będzie oznaką naszej dumy, niewłaściwego podchodzenia do spraw świętości. Ktoś, kto bez zupełnie szczególnej łaski Bożej, własnymi siłami będzie usiłował uzyskać natychmiastową świętość, wcześniej lub później spadnie z pozornych wyzyn i to zapewne spadnie niżej niż się znajdował poprzednio.

Natomiast dla nas wszystkich jest właściwa serio pojęta droga organicznego wzrostu, o której mówi Chrystus w przypowieściach o ziarnie gorczycy i zakwasie chlebowym (Mat.13:31-33). Z małego ziarnka gorczycy wyrasta pomalą wielki krzak jarzyny, podobny do

krzewu. Małą trocha kwasu powoduje zmiany w całym cieście. Robiąc co wieczór rachunek sumienia starajmy się, aby dzień następny był lepszy od dzisiejszego. Nie pozbedziemy się od razu wszystkich wad, nie zyskamy od razu wszystkich zalet. Postępujemy ze sobą tak jak postępowałibyśmy z dzieckiem wychowywanym przez nas, które kochamy. Kochajmy siebie w rozsądny sposób wychowując siebie. Niech się w nas rozwija ziarenko wiary, niech zakwas łaski Bożej stopniowo przemienia nasz charakter i usuwa z nas złe przyzwyczajenia, nie dopuszcza tworzyć się zakalcom chciwości i samolubstwa. Jeśli będziemy usilnie, codziennie pracowali w ten sposób, to pewnie już po kilku latach zauważymy zmiany na lepsze.

Podtrzymujmy je, rozszerzajmy.

brat Paweł

MIŁOŚĆ - ZUPEŁNIE COŚ INNEGO

Miłość, jakiej wzór dał nam Jezus jest ponad siły nasze, a do realizacji jej dobra wola nie wystarczy. Jedynie łaska Boża może stać się źródłem miłości w sercu człowieka, jedynie Duch Boży może rozpaść w naszej duszy ogień tej miłości, której żar ogarnia nie tylko bliźnich lecz i wrogów. Apostoł Paweł, największy geniusz religijny prchrześcijaństwa, odgadł, że miłość - to najpiękniejszy owoc działania Ducha Świętego i na cześć tej miłości odśpiewał hymn utrwalony w rozdziale trzynastym Pierwszego Listu do Koryntian.

Kto odczuł i przeżył w swym sercu i sumieniu czystą, świętą dobroć Wszchemogącego Boga, kto przekonał się że miłość musi być silniejsza, potężniejsza niż nienawiść, a w praktyce nie może być zależna od tego, co inni ludzie nam czynią, wie, że ta miłość nie żyje z miłości innych ludzi, lecz czerpie z prazródła wszelkiego życia, dzięki któremu nasze skomplikowane i pogmatwane życie zyskuje sens i cel z wiecznie tryskającego źródła Wszchemocnego Boga.

Z tym, który miłości Boga w głębi swej duszy nie doświadczył, nie ma najmniejszego sensu rozvodzić się czy dyskutować na temat możliwości bądź obowiązku miłości wroga. Taki nas w ogóle nie zrozumie. Sens i możliwość przykazania miłości wroga podaje cudownie tajemnica panowania dobrego Boga, to co określamy dzisiaj przez „zupełnie coś innego”. Dlatego nie należy z innymi wiele o tym rozmawiać. Takiej miłości nie można nikomu ani wmówić ani jej nakazać. Ta miłość może rosnąć jako wiotka, delikatna roślina, ale tylko tam, gdzie święta czysta dobroć Boga opanowała serce ludzkie.

Miłość Jezusowa to dzieło Ducha Świętego w duszy ludzkiej, to dar łaski Bożej dla człowieka, zasada życia w Królestwie Bożym.

brat biskup Szymon

POZNANIE BOGA W MODLITWIE

Pobożni Żydzi w czasach Jezusa odmawiali rano i wieczorem słynną modlitwę „SEUCHAJ IZRAELU” i wyznaczone słowa uwielbień, (porównaj: Pwt 6:4-9,13-21; Lb 15:37-41)

odmawiali przy posiłkach przepisane słowa błogosławieństw, odmawiali modlitwy sobotnie, słowa liturgii paschalnej, świąt tygodni, świąt szalasów... Stale się też modlili prywatnie.

Modlitwy, które czerpali z Pisma Świętego wyznaczały rytm ich dnia, otwierały ich ku wyższym rzeczywistościom, pozwalały znajdować tajemnicę, która ich życie wyprowadzała na zewnątrz w Boże przestworza.

Boga poznawali zewnątrz z kart Biblii. Praktykowanie modlitwy pozwalało im przeżywać Go również wewnątrz jako zbawienie ich narodu, i jako tego, który prowadzi indywidualne życie każdego z nich ku pomyślnej przyszłości. Przez modlitwę wzrastała ich wiara i zaufanie do Boga jako pasterza życia każdego człowieka. Izraelski system modlitw przenikał całą osobistą, rodzinną i społeczną atmosferę, w której wzrastał Jezus oczekując czasu wypełnienia swojego zadania.

Te modlitewne praktyki, w których kręgu żył Jezus, odcisnęły się na całym Jego ziemskim byciu. Ewangelie relacjonują nam, jak modlitwy towarzyszyły Jego życiu wszędzie i zawsze. Podstawowe wydarzenia Jego ziemskiego życia, jak chrzest czy przemienienie rozwijały się z sytuacji modlitewnych lub prowadziły do przeżywanego w Duchu Świętym radosnych modlitw dziękczynnych (Łk 3:21; 9:29; 10:21).

Przed ważnymi decyzjami jak wybór uczniów i apostołów, spędzał całe noce na modlitwie (Łk 6:12)

Przygotowanie do Męki, poprzedzone ludzkim, wewnętrznym zmaganiem i tragizmem końca swojego ziemskiego życia - śmierć na Krzyżu przyjął Chrystus trwając w nieustannej modlitwie.

Umierał ze słowami na ustach, zaczerpniętymi z bogatej skarbnicy Izraela, z psalmów (Ps 21(22):2, czy 30(31):6).

Podczas straszliwych cierpień znalazł Jezus siłę, aby się modlić za swoich oprawców: „OJCZE, ODPUŚĆ IM, BO NIE WIEDZĄ, CO CZYNIĄ” (Łk 23:34).

Modlił się też za niewyrwałego Piotra: „PROSIŁEM ZA TOBĄ ABY NIE USTAŁA WIARA TWOJA” (Łk 22:32).

Ale również w codziennym biegu życia znajdował Jezus zawsze czas na modlitwę.

Modlił się w miejscach odludnych, modlił się na górach, modlił się w nocy.

Modlił się wtedy samotnie.

Samotnie przeżywał w swojej naturze ludzkiej tajemnicę własnego wcielenia i losu. Przyjmował tajemnicę związku człowieczeństwa i Bóstwa jako rzeczywistość, której się trzeba oddać i ją pokochać.

Wypowiedział cześć dla macierzyńsko-ojcowskiego TY w sposób osobliwy, nie dający się naśladować, poprzez pospolite skądinąd słowo „ABBA”. W tej wypowiedzi odbił się jego stosunek do Boga. Tu w pełni przemówił jako „SYN BOGA”.

Jezus w modlitwie przeżywał czym jest Jego człowieczeństwo dla Boskości i czym Boskość dla człowieczeństwa.

Uczennice i uczniowie Jezusa dojrzewali do swoich zadań w cieniu Jego modlitwy. Z obserwowania, z odczuwania, z przeżywania jej powstało w nich życzenie wyrażone w prośbie „PANIE, NAUCZ NAS SIĘ MODLIĆ”.

I Jezus im powiedział: „GDY SIĘ MODLIĆ BĘDZIECIE, MÓWCIE: OJCZE NASZ, KTÓRYŚ JEST W NIEBIE, ŚWIĘĆ SIĘ IMIĘ TWOJE, PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE. BĄDŹ WOLA TWOJA, JAKO W NIEBIE, TAK I NA ZIEMI. CHLEBA NASZEGO Powszedniego daj nam dzisiaj. I ODPUŚĆ NAM grzechy nasze, bo też i my

ODPUŚCZAMY WSZELKIEMU WINOJACY NASZEMU. I NIE WWÓDŹ NAS NA POKUSZENIE, ALE NAS ZBAW ODE ZŁEGO” (Łk 11:1-4).

Ta modlitwa, w postaci zapisanej przez Ewangelię Łukasza, a będąca darem Jezusa dla Jego uczniów i uczniów, jest całkiem krótka. Realizuje się w niej zalecenie Jezusa: „A MODLĄC SIĘ NIE MÓWCIE WIELE, JAK TO CZYNIĄ POGANIE, ALBOWIEM MNIEMAJĄ, ŻE DLA WIELOMÓWSTWA SWEGO BĘDĄ WYSŁUCHANI” (Mt. 6:7).

Modlitwa według zalecenia Jezusa powinna być wypowiedziana w odosobnieniu, z dala od szumu i zgiełku (M 6:6).

Rozwinięciem sprawy modlitwy są też przypowieści o proszącym przyjacielu (Ełk 11:5-8) i o bezbożnym sędzi (Ełk 18:1-8).

Modlitwa w sensie nauki Jezusa powinna być pewnością: „SZUKAJCIE TEDY NAJPIERW KRÓLESTWA BOŻEGO I SPRAWIEDLIWOŚCI JEGO, A TO WSZYSTKO BĘDZIE WAM PRZYDANE” (Mt 6:33).

Wszędzie, gdzie się uczennice i uczniowie Jezusa kierują Jego wskazówkami przy modlitwie, znajdują ścieżkę prowadzącą do innego życia. Tęsknota za istotną pełnią życia prowadzi ich, aż znajdują swoje miejsce przed Bogiem i znajdują samych siebie innymi, przemienionymi.

Do dziś trwa zaproszenie Jezusa do prawdziwej, ufnej modlitwy. Planujmy nasze życie z prośbą w sercu i na ustach „PANIE, NAUCZ NAS SIĘ MODLIĆ”.

Możemy być pewni, że w ten sposób znajdziemy prawdziwe życie.

brat Ansgar

Z niemieckiego tłumaczył brat Paweł

=====

ŚWIĘTY FRANCISZEK Z ASYŻU

uwagi laika

Postać świętego Franciszka z Asyżu przykuwa uwagę wielu ludzi. Jedni widzą w nim „Szaleńca Bożego” (jak chce Ewa Szelburg-Zarębina) - wybrańca, upoważnionego przez Boga do zreformowania Kościoła, drudzy uważają, że był to człowiek - idealista, niepowtarzalny oraz niedościgniony wzór dla innych. Są i tacy, którzy twierdzą, że święty był oryginałem o zakłóconej równowadze psychicznej, a jeszcze inni wyrażają się o nim lekceważąco i z wyższością. Jedno jest pewne, mimo iż wiele na ten temat pisano i mówiono nikt nie potrafi w istocie powiedzieć, jak można naśladować w praktyce życie tego człowieka.

Wiem, że również ja, wbrew tytułowi moich rozważań, nie dam odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące tego wielkiego, a zarazem nader skromnego człowieka. Święty przerosł bowiem pokolenia ludzkie i jest nieosiągalnym wzorem dla człowieka współczesnego.

Błądzą ci, którzy dosłownie odczytują określenie *biedaczyna* z Asyżu. Mimo wychowania w bogatej rodzinie mieszczańskiej, święty dobrowolnie wybrał życie ubogie w zakresie niewyobrażalnym. Będąc ubogim materialnie z wyboru, nie był ubogim duchem. Na jego duchowe bogactwo składa się wyniesiona z domu wiedza wyższa, niż przeciętna w owych czasach, a przede wszystkim głębia ducha. Bieda doczesna pozwalała świętemu pogłębiać rozwój duchowy. Nie jest to teza odkrywczą, bowiem i świat starożytny znał ludzi rzucających dostatek i wygodę, aby w nędzy rozumianej w sensie ludzkim, ćwiczyć się do

życia doskonałego. Historia zna też ludzi niskiego stanu, którzy swoimi naukami zaskakiwali wielkich tego świata. Jednak wśród grona tego rodzaju wybitnych postaci święty Franciszek zajmuje miejsce wyjątkowe, jest niepowtarzalny. Prostotą czynów i wypowiedzi szokował ówczesnych. Pokazywał, że wielkości należy szukać w prostocie. Sposobem oceniania zdarzeń dziejących się ówczesnie wskazywał, że rozumowanie „wprost” jest formą naturalną dla człowieka. Działaniem dawał przykład jak należy rozumieć słowa Jezusa Chrystusa przekazane przez ewangelistów. Możemy się zastanawiać, czy przykład ułagodzenia wilka z Gubbio opisany w *Kwiatkach świętego Franciszka* jest faktem rzeczywistym, czy, jak chcą niektórzy, jedynie przenośnią wskazującą na pacyfizm świętego. Ale bezzasadny będzie - moim zdaniem - spór, czy dyskurs świętego Franciszka z myślicielami muzułmańskimi na dworze sultana Saladyna (patrz: Zofia Kossak-Szczucka - *Bez oręża*) miał taki, a nie inny, przebieg i wynik. Jakie nie byłyby jego szczegóły, jest on dla mnie dowodem na wagę dyskusji, które w czasach gdy zwykło się rozstrzygać spory orężem, wskazywały możliwym tego świata na ważność mediacji. Czy nie jest to dowód na wyprzedzenie epoki przez świętego, na danie przykładu i wskazówki, którą szerzej zaczęto się kierować dopiero w XX wieku?

Można się zastanawiać, czym się kierował święty układając słynny hymn o pochwałę stworzenia, gdzie zawarł podziękę dla Boga, który stworzył i ukształtował świat, hymn mający może jakieś odbicie w wierszu Kochanowskiego *Czego chcesz od nas Panie za twe hojne dary*. Było to, jak na owe czasy, gdy sytuowano człowieka i Ziemię w centrum Wszechświata, ujęcie i odważne i reformatorskie, ponieważ głosiło braterstwo ludzi z żywiołami i zarazem ich Boskie synowstwo. Wszystko to na chwałę Bożą. Pozostaje niepodważalne, że święty wskazywał w tym przypadku człowiekowi, że świat otaczający go ma być przez niego traktowany przyjaźnie, a nie z pozycji pana i władcy. Przydana nam przez Boga przyroda nie ma być dla nas polem do wyzysku, ale mamy z nią żyć w symbiozie i korzystać z niej zgodnie z prawami Bożymi. Święty Franciszek był więc prekursorem szeroko pojętej ekologii.

Praktykować ubóstwo franciszkańskie dziś - oto najtrudniejszy problem, jak to widać chociażby z zamieszczonych już w *Pracy nad sobą* artykułów brata Zdzisława i polemiki siostry Dominiki (patrz: zeszyty 6., 11. i 12). Rzecz nie tylko w tym, że żądza bogacenia się całkowicie opanowała dzisiejszą ludzkość, ale i w tym, że człowiek współczesny, aby funkcjonować musi się otaczać określonymi przedmiotami (choćby warsztatem pracy). Przedmioty nieodzowne do pracy człowieka nierzadko są dużej wartości. Trudno więc praktykować franciszkańskie ubóstwo. Postawienie sobie raz na zawsze ostrej, formalnej granicy tego, co mi naprawdę potrzebne, jest w praktyce niemożliwe.

Może więc wyjściem z sytuacji będzie w pierwszej kolejności uznanie, że na pewno nie powinniśmy być ubogimi duchem. Ubóstwo duchowe jest bowiem zaprzeczeniem idei franciszkańskiej, Pogłębienie duchowości w konsekwencji spowoduje konieczność życia zgodnego z przyjętą ideą, a ta zakreśli nam granice naszego materialnego bogacenia się w życiu ziemskim. W ten sposób dojdziemy do ustalenia, co rozumiemy przez ubóstwo franciszkańskie dziś. Czy jest to właściwa metoda - nie wiem, ale sądząc, że może warto sprawdzić ją w praktyce.

brat Wiktor

DOPISEK REDAKCJI: Ewangeliczne „Błogosławieni ubodzy duchem” brzmi w oryginale *Μακαριοι οι πωχοι το πνευματι*. Użyty tu wyraz *πωχοι* oznacza

ubogich w sensie 'żebraków'. Chrystus daje błogosławieństwo nie tym, którzy po prostu mają mniej ducha niż mieć powinni, ale żebrzącym o więcej ducha, niż go mają. Można ten werset tłumaczyć „Błogosławieni żebracy duchowi” lub „Błogosławieni żebrzący o ducha”.

CZY DUSZA LUDZKA MOŻE ISTNIEĆ POZA CIAŁEM ?

Jako wstęp do próby odpowiedzi na pytanie pani Honoraty Korpikiewicz „*jaki jest cel Bóży, żeby nie stwarzać tylko dobrych ludzi, ale także złych?*” (Praca, zeszyt 13. str.10.-11.) chcę tu omówić w skrócie kilka problemów mogących stanowić podbudowę pod przyszłe rozważania na ten temat.

Przed wszystkim chcę zwrócić uwagę, jak powinniśmy rozumieć Pismo Święte, gdy mówi o poruszanych tu, oraz o innych, sprawach. Cytując przewrotnie poszczególne zwroty, w oderwaniu od całości Pisma Świętego, można poprzeć każdą tezę. I tak na przykład w Biblii napisane jest >>nie ma Boga<< . (Ps 13(14):2). Nikt rozsądny nie wyciągnie jednak z tego wniosku, że Biblia głosi ateizm, gdyż tu kontekst jest bliski i wyraźny. Cały werset brzmi bowiem >>Rzekł głupi w sercu swoim: nie ma Boga<<. Tak więc powiedziane jest tu, że brak Boga głosi głupi, a nie Pismo Święte od siebie. To też żaden zwolennik ateizmu nie będzie wykorzystywał tego cytatu w dyskusji z ludźmi wierzącymi w Boga.

Dość często natomiast bywa wykorzystywany do dyskusji, z uznającymi świadome życie duszy ludzkiej po śmierci fizycznej, zespół cytat z *Księgi Koheleta* (inaczej *Kaznodziei* albo *Eklezjastesa*). Przyjrzyjmy się kilku najbardziej charakterystycznym spośród nich. >>Nic lepszego dla człowieka, niż żeby jadł i pił i duszy swej pozwał zażywać szczęścia przy swojej pracy (2:14). *Los bowiem synów ludzkich jest ten sam, co i los zwierząt; los ich jest jeden; jaka śmierć jednego, taka śmierć drugiego i oddech życia ten sam. W niczym bowiem człowiek nie przewyższa zwierząt, bo wszystko jest marnością. Wszystko idzie na jedno miejsce: powstało wszystko z prochu i wszystko do prochu znów wraca. Któż pozna, czy siła życiowa synów ludzkich idzie w górę, a siła życiowa zwierząt zstępuje w dół, do ziemi? Zobaczyłem więc, że nie ma nic lepszego nad to, że się człowiek cieszy ze swych dzieł, gdyż taki jest jego udział. Bo któż mu pozwoli widzieć, co stanie się potem (3:19-22). Oto co ja uznałem za dobre: że piękną jest rzeczą jeść i pić i szczęścia zażywać przy swojej pracy, którą się człowiek trudzi pod Słońcem, jak długo się liczy dni jego życia, których mu Bóg użył, bo to tylko jest mu dane (5:17). Ten sam spotyka los sprawiedliwego i złochnięc, tak czystego, jak i nieczystego, zarówno składającego ofiary, jak i tego, który nie składa ofiar; tak samo jest z dobrym, jak i z grzesznikiem, z przysięgającym, jak i z takim, który przysięgi się boi. To złem jest wśród wszystkiego, co się dzieje pod Słońcem, że jeden dla wszystkich jest los. A przy tym serce synów ludzkich pełne jest zła i głupota w ich sercu, dopóki żyją. A potem - do zmarłych! Bo któż stanowi wyjątek? Wszyscy żyjący mogą jeszcze mieć nadzieję, bo lepszy jest żywy pies niż lew nieżywy - ponieważ żyjący wiedzą, że umrą, a zmarli niczego zgoła nie wiedzą, zapłaty też więcej już żadnej nie mają, bo pamięć o nich*

idzie w zapomnienie (9:2-5). *Nuże więc! W weselu chleb swój spożywaj i w radości pij swoje wino! Bo już ma upodobanie Bóg w Twoich czynach. Każdego czasu niech szaty twe będą białe, oleju też niech na głowę twoją nie zabraknie! Używaj życia z niewiastą, którą ukochał, po wszystkie dni marnego twego życia.* (9:7-9 - tu wszystkie cytaty wg., Biblii Tysiąclecia). <<

Ze względu na długość rozważań znalezienie kontekstu nie jest tu łatwe, więc znam chrześcijan którzy uznają, że ten tekst stwierdza, że po śmierci nie ma nagrody ani kary, że człowiek po śmierci niczego już nie wie i że naprawdę najmądrzejsze, co można robić na ziemi, to jeść, pić i używać życia z kobietą (dla kobiet - przez analogię - z mężczyzną). A kontekst jest przecież prosty, choć trzeba go poszukać. Autor w prologu do księgi mówi, że >> skierowałem umysł swój ku temu, by zastanawiać się i badać ile mądrości jest we wszystkim, co dzieje się pod niebem. To przykre zajęcie dał Bóg synom, ludzkim, aby się nim trudzili (1:13)<<. A więc jest to księga przedstawiająca tę mądrość, do jakiej człowiek może dojść nie z inspiracji Bożej, ale własnym rozumem. I dlatego po podaniu wielu mądrości ziemskich, po stwierdzeniu, że umysł ludzki nie potrafi dojrzeć żadnej sprawiedliwości, autor radzi czytelnikowi: Jednak wbrew temu, >>wszystkiego tego wysłuchawszy; Boga się bój i przykazań jego przestrzegaj, bo cały w tym człowiek! Bóg bowiem każdą sprawę wezwie na sąd<< (12:13-14). *Księga Koheleta* raczej przestrzega więc przed pochopnymi sądami własnego rozumu, wskazuje, że wprawdzie myśląc po ludzku dochodzimy do wniosku, że umarli „zapłaty już żadnej nie mają”, ale wbrew naszemu rozumowi „Bóg każdą sprawę wezwie na sąd”. Nie Biblia, ale głupiec twierdzi, że nie ma Boga. Nie Biblia, ale człowiek, który się pragnie posługiwać wyłącznie dyskursywnym rozumem w poznawaniu spraw Bożych, dochodzi do wniosku, że nie ma zarówno świadomości po śmierci, jak i nagrody ani kary.

* * *

Pisałem już w *Pracy* (zeszyt 13, str. 12.-14.), że - mimo różnic w terminologii i sposobie opisu - poglądy większości Kościołów chrześcijańskich są zgodne i pewne tego, że po śmierci człowiek (to znaczy ta jego część, która jest nieśmiertelna), zależnie od tego, jak przeżył swoje życie i w jakim usposobieniu przeszedł przez wrota prowadzące do tamtego świata, krócej lub dłużej musi się oczyścić z ziemskiego zła i potem wstępuje do regionów czysto duchowych - do nieba. Kościół Powszechny w uchwałach swoich siedmiu soborów i w wypowiedziach ojców Kościoła określa jednoznacznie byt dusz po śmierci. Tylko ateści i nieliczne denominacje chrześcijańskie, nie rozumiejąc chyba sensu księgi Koheleta, uważają, że człowiek w chwili śmierci traci w ogóle świadomość - przestaje istnieć.

* * *

Podobnej pewności i zgodności brak natomiast w problemie - zdawało by się - całkiem symetrycznym do poprzedniego, dotyczącym bytu dusz przed poczęciem. Marek Suder w wierszu zamieszczonym w tym zeszycie *Pracy* (str.18.-19.) powiada, że wie, iż istniał wcześniej, że był myślą Bożą i Bożym zamiarem. Z tym się każdy zgodzi. Ale co to znaczy być myślą Bożą? Wszystko co istnieje, istnieje w Jego świadomości, w Jego myśli; jest Jego myślą, Kompozytor, gdy słyszy w wyobraźni swój utwór, gdy ma go już w myśli, jeszcze go nie stworzył. Utwór musi się doczekać zapisania i wykonania, albo przynajmniej jednego z tych dwojga aby zaistnieć. Dopiero wtedy można powiedzieć, że kompozytor stworzył utwór

muzyczny. Bóg tworzy inaczej. Nie musi pisać na papierze ani używać smyczka. Zamysł jest zarazem wykonaniem. Istnienie w Jego świadomości jest w pełni realnym istnieniem. Jeśli dziś żyje, to znaczy, że Bóg ma mnie w swojej świadomości.

Kościół Powszechny oficjalnie, z szacunku dla tajemnicy ludzkiego poczęcia, raczej milczy w sprawie pochodzenia dusz ludzkich rozpoczynających byt ziemski. Uchwały powszechnych soborów nie mówią skąd i jak przychodzimy, aby się począć, gdzie i w jaki sposób przed poczęciem istniejemy w Bożej świadomości. Ojcowie Kościoła natomiast posiadali co do tego różne własne opinie. Można je podzielić na trzy zasadnicze grupy.

Do jednej z nich zaliczamy poglądy zwane kreacionistycznymi. Bóg tworzy każdą duszę ludzką oddzielnie w chwili poczęcia. Nie zagłębiajmy się w różnice poglądów co do momentu i natury poczęcia, ale przyjrzyjmy się ogólnym trudnościom teologicznym płynącym z takiego poglądu. Jeśli dusza poczętego właśnie dziecka jest dopiero co stworzona, to skąd się w niej bierze grzech pierworodny? Przecież nie ma ona niczego wspólnego z grzechem Adama i Ewy? Ponadto poczęcie bywa czasem wynikiem gwałtu lub innego przestępstwa. Dlaczego w ogóle w takich przypadkach może nastąpić poczęcie, jeśli jest ono doraźnym, twórczym działaniem Boga? Czyżby Bóg chciał współdziałać z przestępcami? Zarówno przyjęcie, że chce współdziałać, jak i przypuszczenie, że nie chce, ale jest przez przestępców zmuszany do współdziałania, prowadzi do dywagacji bardzo trudnych, choć możliwych do wybrnięcia. Kościół nie zabrania posiadania poglądów kreacionistycznych biorąc pod uwagę, że inne poglądy też wywołują teologiczne trudności. W kościele zachodnim kreacionizm jest nawet najbardziej rozpowszechnioną opinią teologiczną.

Inny typ poglądów nazywamy genaratyzmem. Tu dusza dziecka ma pochodzić od dusz rodziców, podobnie jak jego ciało od ich ciał. Wyłaniają się tu następujące trudności: Skąd w duszy dziecka ochrzczonego już rodziców miałyby się w takim przypadku wziąć grzech pierworodny? I drugie, przeciwne pytanie: Jeśli rodzice w chwili poczęcia byli w stanie grzechu ciężkiego, to dlaczego dusza dziecka nie miałyby również dziedziczyć ich grzechów indywidualnych, uczynkowych? Dość gruba odmiana genaratyzmu zwana traducjanizmem została potępiona. Mimo braku jednoznacznych wypowiedzi Kościoła potępiających w całości genaratyzm we wszystkich jego odmianach, nie cieszy się on raczej przychylnością teologów, choć pewne jego odmiany dają się pogodzić z ortodoksją.

Trzecią grupą poglądów stanowią te, które mówią o preegzystencji, o miejscu, gdzie dusze istnieją przed poczęciem i skąd przychodzą aby się wcielić, gdy zostaje dla nich przygotowane ciało. Tu za trudność można uważać wyobrażenie sobie takiego miejsca pobytu.

* * *

Z tego, co napisałem, nie wynika że Kościół nie powiedział niczego w sprawie pochodzenia dusz. Oto na V Soborze Powszechnym (Konstantynopoliński II) w roku 553. potępiono naukę przypisywaną Orygenesowi. Orzeczono mianowicie >>*Kto mówi lub myśli, że dusze ludzkie istniały od początku, że były one z początku rozumymi i świętymi siłami rozkoszującymi się w pełni oglądaniem Boga, a potem obróciły się ku gorszemu i wskutek tego ochłódły w miłości do Boga, dlatego też nazywają się duszami, i za karę są posyłane w ciała, ten niech będzie anatema (=wyklęty)<< Wymaga tu wyjaśnienia co ma wspólnego ochłodzenie dusz z ich nazwą. Otóż po grecku chłódność jest ‘ψυχωσ’, a dusza - ‘ψυχη’. Potępiony tu, prymitywny pogląd, oparty na pokrewieństwie słów, określałby życie dusz w ciele jako pewnego rodzaju „czyściec” za grzechy popełnione w niebie. Występuje tu jakies odwrócenie pojęć. Warto zwrócić uwagę, że na podstawie zachowanych Pism Orygenesia nie*

da się twierdzić, że on coś takiego o stygnięciu dusz głosił, choć był zwolennikiem preegzystencji, o czym napiszę jeszcze w następnych zeszytach *Pracy*. Na tymże soborze orzeczono też, że akt stworzenia człowieka obejmował jednocześnie jego ciało i duszę. („Utworzył tedy Pan Bóg człowieka z mułu ziemi i tchnął w oblicze jego ducha żywota i stał się człowiek duszą żyjącą” Rdz. 2:7) Czasem, zwłaszcza na zachodzie, interpretowano owe uchwały jako zwrócone ogólnie przeciwko teorii preegzystencji. Zarówno negatywna ocena dziwnej koncepcji „ochłodnięcia dusz w niebie”, jak i pozytywne stwierdzenie, że Bóg stworzył człowieka jako istotę zarazem cielesną i posiadającą duszę i ducha, nie wykluczają bynajmniej wszystkich poglądów preegzystencyjnych.

Wspomniane dwie uchwały soboru są jedynymi obowiązującymi powszechnie, a dotyczącymi bytu dusz przed wcieleniem. Również wśród wypowiedzi papieży rzymskich *ex cathedra* nie ma żadnych innych na ten temat.

Omówiłem tu sprawy bezcielesnego bytowania dusz ludzkich w sposób skrótowy, ale - jak sądzę - wystarczająco, aby łącznie z tym, o czym była mowa w kilku poprzednich zeszytach *Pracy*, zbliżyć się w następnych zeszytach, do problemu „stwarzania przez Boga złych ludzi”.

brat Paweł

=====

W TROSCE O NASZĄ TOŻSAMOŚĆ

Pragnę nawiązać do artykułu brata Jałosińskiego (*Praca nad sobą*, zeszyt 11, str. 18.-20.) i to nie z tego powodu, że się powołuje na moje stanowisko przedstawione w poprzednich artykułach, ale że poruszył kapitalną sprawę.

Odrębności ludzkie przejawiają się w wielu zachowaniach człowieka i całych społeczności i tego lekceważyć nie można. Uważam, że taką odrębnością jest muzyka i śpiew charakteryzujące daną grupę ludzi. Szczególną wagę przyłożyłbym do śpiewu i muzyki kościelnej. W tych elementach najłatwiej - wprost za pośrednictwem słuchu - uchwycić charakterystyczne cechy danego wyznania. Tu nie trzeba się znać głęboko na teologii, ani zgłębiać historii danego ruchu religijnego. Z treści, a także melodii pieśni można się wiele dowiedzieć o esencji ideowej danej społeczności religijnej. Dlatego pieśń kościelna tak wiele znaczy, zwłaszcza, gdy pamiętamy, że święty Jan Chryzostom mówił, że śpiewać - to podwójnie się modlić. Dlatego nie może być obojętne dla Kościoła i wiernych, co się śpiewa podczas nabożeństw. Sprawą istotną jest treść śpiewów, a także nie bez znaczenia jest melodia.

Żyjąc wraz z rodziną w diasporze uczestniczę okazjnie w mariawickich nabożeństwach odwiedzając różne parafie przy okazji wizyt rodzinnych, wyjazdów urlopowych, lub wprost z potrzeby serca. Zaskakuje mnie w wielu wypadkach wprowadzanie tych niemariawickich pieśni, które w moim odczuciu i przekonaniu tworzą dysharmonię ze sprawowaną Mszą Świętą. Moim zdaniem mariawicka Msza Święta - czemu już dałem wyraz - nie jest zbiorem przypadkowych modlitw, ale konsekwentnie ułożonym „programem” modlitw i czynności sakralnych uwzględniającym chlubne założenia katolickie i natchnione przemyslenia

Mateczki oraz współpracujących z Nią kapłanów. Podziwiam odwagę tych, którzy w tak zestawionym „materiale” duchowym wprowadzają dość dowolne zmiany.

Tu właśnie nowinki muzyczne rażą szczególnie. Nasuwa się domysł, że albo kapłan i organista nie znają muzyki przyjętej w naszym Kościele, albo świadomie zaniedbują śpiew i muzykę przyjętą w mariawityzmie.

Jeśli ktoś w tym momencie chciałby mi postawić zarzut konserwatyzmu, z góry odpowiadam, że między nowoczesnością, postępem, wzorowaniem się na innych, lepszych, a bezrefleksyjnym przenoszeniem na obcy grunt nowinek istnieje ogromna różnica. Jeśli żyjemy w społeczności ludzkiej, musimy znać dorobek ludzki i z niego korzystać. Jednak musimy pamiętać, że nie wszystko, co inni wymyślą, jest dla nas przydatne. Poza tym miejmy koniecznie na uwadze fakt, że różne cechy i odrębności społeczne są ostatnio coraz bardziej cenione. O powrocie do źródeł i odrębności kulturowej mówi się w zmaterializowanej i zuniformizowanej Ameryce. W ramach Unii Europejskiej pragnie się ocalić to, co jest cechą narodową ludów do niej należących. Te dwa przykłady niech będą dla nas ważną wskazówką. Nie zgubmy swej odrębności także w śpiewie i muzyce kościelnej przez przyjmowanie bez zastanowienia tego, co się stało w tym zakresie modne.

Jestem związany z ideą mariawicką, z Dziełem Miłosierdzia, i z Kościołem Mariawitów i piszę to z pozycji kościelnej, Wiem, że prawdziwi, świadomi mariawici (również członkowie Zgromadzenia) istnieją od lat i w innych kościołach. Gdybym był takim wyznawcą innego kościoła, powiedziałbym to samo. Czy do nabożeństwa prawosławnego pasowałby hymn ewangelicki? Czy w czasie nabożeństwa w Kościele Zielonoświątkowym dałoby się z sensem zaśpiewać pieśń prawosławną?

Boga chwalimy nie przez zmiany liturgiczne polegające na ciągłym wstawianiu w czasie Mszy Świętej, na śpiewie często nie przystającym do treści i formy nabożeństwa, czy na różnych, jakoby nowoczesnych, sposobach przyjmowania Komunii Świętej. Boga „sercem i usty wyznawamy” w sposób dany nam przez Kościół, w moim przypadku przez Kościół Mariawicki, a wszelkie indywidualne zmiany i dodatki mogą świadczyć albo o nieznaności naszych zasad, albo na lekkomyślnym poniechaniu tego, co jest w naszej idei ważne - ODRĘBNOŚCI. Szanując naszą tradycję i odrębność, okazują zarazem silniej szacunek do wszelkich innych autentycznie sakralnych tradycji i odrębności niż mieszając obrządki i eksperymentując nowinkami.

Obyśmy zbyt późno nie spostrzegli, żeśmy się zagubili w naporze źle pojętej nowoczesności i wtopiliśmy się w masę ludzką, a wtedy może być za późno do odnalezienia siebie i swojego „ja”.

Andrzej Wiśniewski

=====

Zachęcamy stale czytelników do zabierania głosu na temat nurtujących ich zagadnień religijnych. Ciekawsze wypowiedzi chętnie publikujemy. Prosimy o refleksje, o dyskusję o tezach przedstawionych przez innych, o przedstawianie własnych przemyśleń. Kto uważa, że nie umie pisać, niech pisze tak, jak potrafi, a my się już postaramy wypowiedź lepiej zredagować. Chcemy, aby nasze pismo było prawdziwym ośrodkiem wymiany myśli religijnej.

Redakcja

Cel.

*Celu mego istnienia
Wiem,
Wiem, że zanim zobaczyłem Słońce,
Już byłem.
Byłem u Ciebie,
Byłem Twoją myślą,
Twoim zamiarem.
Posłałeś mnie w pierwszą
Samodzielną podróż
Jak ptaka,
Który z gniazda ulatuje.
Lecę.
Spoglądam dokoła,
Oglądam,
Jak piękny jest świat.
Podziwiam,
Jak piękną jest miłość.
A to są przecież Twoje dzieci;
Mój brat i moja siostra.
Dzięki, że nauczyłeś nas
Pomagać sobie,
Że Ty nam pomagasz.
Będziemy siebie wspierać
Póki jesteśmy razem.
Kiedyś zrodzę się do życia
Nie w świecie,
Ale w Tobie.*

Będę patrzył na Ciebie,

*Ciebie pił,
Tobą oddychał,
Tobą myślał,
Tobą wiedział,
Tobą kochał.
Teraz biegnę.
Zbieram po drodze
Rozrzucone przez Ciebie skarby.
Skarby miłości i braterstwa.
Biegnę,
Potykam się,
Tracę,
Znajduję.
Nie chcę zrodzić się nagi,
Z pustymi rękami.
Chcę zbierać i siać
I znów zbierać.
Przyniosę Ci pełen spichlerz.
Pozwoliłeś mi dojrzewać;
Nie będę płodem poronionym.
Ty sam wiesz kiedy pora,
Ty postawiłeś bramę na mojej drodze.
Bramę przez którą widać Ciebie.
Pozwól patrzeć głębiej,
Czuć powiew orzeźwiający,
Podłuchać słowa niewypowiedziane.
Pozwól napojem Twoich źródeł
Upijać się do rozkoszy.*

Marek Suder

SPROSTOWANIA

W sprawie Katechizmu prawd Wiary Świętej

Chcę sprostować i uzupełnić niektóre informacje zawarte w recenzji wydanego w naszej parafii katechizmu (*Praca nad sobą* zeszyt 15. str.21.-23.). Równocześnie z wydaniem Pisma Świętego (rok wydania 1928) zawierającego w tej samej oprawie *Skorowidz katechizmowy* oraz list pasterski *O Królestwie Bożym na ziemi*, wydano oddzielnie książeczkę *Katechizm Prawd Wiary Świętej w Piśmie Świętym Nowego Testamentu* o identycznej treści jak *Skorowidz katechizmowy*. To właśnie wydanie posłużyło nam do opracowania matrycy w zmienionej formie w stosunku do pierwowzoru. Katechizm w nowej formie wydaliśmy w

marcu 1996 roku w liczbie 200 egzemplarzy, które rozprowadziliśmy zgodnie z zamówieniami poszczególnych parafii.

Kazimierz Bujala

W sprawie dogmatu Niepokalanego Poczęcia

Wskutek niedopatrzenia redakcyjnego, w artykule Krzysztofa Szypowskiego na str. 7.-8. zeszytu 15. *Pracy* znalazło się sformułowanie o >>przyjęciu dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Marii Panny przez Sobór Watykański I<< Jest to zdanie mylące, na co nam od razu zwróciło uwagę kilku czytelników. Dogmat o Niepokalanym Poczęciu Bogurodzicy został ogłoszony przez rzymskiego papieża Piusa IX w roku 1854, zaś Sobór Watykański I (1869-1870) uznał tylko prawo papieża rzymskich do ogłaszania nowych dogmatów wiary i tym samym zatwierdził ów dogmat. Za niedopatrzenie przepraszamy Autora i Czytelników.

Redakcja

MOTYWY MARIAWICKIE W PAMIĘTNIKACH LESZKA RADZIKOWSKIEGO

Dzięki uprzejmości pani Katarzyny Witwickiej, spadko- bierczyni puścizny literackiej Leszka Radzikowskiego mamy możliwość opublikowania - z maszynopisu jego pa- miętników - kilku fragmentów dotyczących mariawityzmu. Dla oszczędności miejsca opuszczamy nieistotne frag- menty tekstu.)

1) ze wspomnień z czasów austriackiej okupacji Lublina w czasie I Wojny Światowej

Z lubelskimi, austriackimi procesjami Bożego Ciała wiąże mi się (...) wspomnienie, dość ważne, jeśli chodzi o moje późniejsze zainteresowania. Otóż w czasie okupacji nie było biskupa. Dawny umarł. Z mianowaniem nowego Watykan czekał do końca wojny. Administrował diecezją ksiądz infułat Kwiek, a jego rodzony brat, ksiądz kanonik Kwiek, odgrywał w lubelskiej diecezji także dość znaczną rolę. I właśnie jeden z braci Kwieków zawsze celebrował tę procesję.

Gdy rozpoczął swą działalność ruch mariawicki, na razie jako na wpół tajne zgromadzenie franciszkańskie w ramach Kościoła Rzymskokatolickiego (zgromadzenia zakonne były wtedy, przed pierwszą wojną, w Kongresówce rozwiązane i zakazane, a jednym jedynym¹ wyjątkiem był klasztor paulinów w Częstochowie) obaj Kwiekowie, księża nietuzinkowi, odgrywali w nim rolę niepoślednią i Lublin był ważnym ogniskiem mariawickim. Potem, gdy mariawityzm przerodził się w oddzielną denominację wyznaniową - sprawy te mam zamiar omówić szerzej dalej - obaj Kwiekowie cofnęli się, pozostali w Rzymskim Kościele, co

decydująco wpłynęło chyba na późniejsze pewne uwiędnienie lubelskiego ogniska mariawickiego buntu. Cofnęli się, ale Watykan nie wybaczył im wybitnego udziału w pierwszym stadium buntu. Nie miano już do nich zaufania. Żaden z nich już biskupem nie został, choć mieli po temu realne warunki. Biskupem lubelskim został po wojnie ks. Fulman, ktoś zupełnie spoza Lublina, bodaj z Galicji. Ale już wtedy, za Austriaków, było wiadomo, że obaj Kwiekowie mają drogę do biskupstwa zamkniętą i to było w Lublinie tematem licznych plotek i dyskusji po cichu.

Oczywiście, dla babki Florczykowej, matki ojca i dla stryjenki Antoniowej mariawityzm był dziełem diabła. W domu naszym było jednak ognisko pobożności w innym stylu. Babka Jaroszyńska, której wszystkie dzieci były tak bardzo zlaicyzowane, sama była pobożna. A gdy matka „staneła mocno na nogach” i zaczęła prowadzić dom na dość szerokiej stopie, babka Jaroszyńska zgromadziła sobie swoisty fraucymer, nawpółprezydentek, starsuszek bardzo biedniutkich, które czasem pomagały lub udawały, że pomagają służącej w drobnych pracach. Czasem zabierały sobie jakieś resztki obiadu. Już za stare i nazbyt niedołęzne, by pójść na procesję, przyglądały się jej z balkonu razem z nami. To chyba jedna z nich - ale może była to służąca - powiedziała w czasie procesji o mariawitach:

- Modlili się, jakże się modlili! Modlili się po nocach.

Zapewne brały one udział w nocnych nabożeństwach, jakie rzeczywiście organizowali mariawici tuż przed, nieodwracalną już wtedy, secesją. Właśnie z rozmów i napomknien tych kobiet dowiedziałem się o historii braci Kwieków.

Mniej więcej w tym czasie, wiosną lub jesienią (...) bawiliśmy się czasem całą grupką dzieci w sadzie-ogrodzie pana Małgorzewskiego (...). Ten sad obejmował ogromny teren od ulicy Szkolnej, poprzez tereny obecnego gmachu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, aż do skarpy. (...) Niedługo po wojnie teren został podzielony i zabudowany. Mnie zaprowadziła tam kuzyneczka i ona to, wraz ze swoimi koleżankami, patrząc na kościół mariawitów - ze skarpy tego ogrodu była piękna panorama na ich kościół i przedmieście Czechówka - kpiły sobie na temat „koźłowitów” i ich „Mateczki”. Rozśmieszało je już samo to, że głową tej denominacji była kobieta. Znacznie później zorientowałem się, że mówiły o mariawitach. Słowa „koźłowici” już chyba potem nie słyszałem, ale o mariawitach słyszałem zawsze tylko żarty i drwiny.

Jeden, jedyny raz posłyszałem słowa dla nich zycziwe: „Modlili się, jakże się modlili! Modlili się po nocach.”. Właśnie wtedy, gdy balkon i okna naszego mieszkania bogato były przybrane dywanami, bukietami kwiatów, figurami i obrazami, zapalonymi świecami. Patrzyliśmy z okna czy z balkonu na stryja Antoniego, który zawsze tradycyjnie był komendantem straży porządkowej i biegał zaferowany wzdłuż procesji. Pod baldachimem kroczył z monstrancją jeden z braci Kwieków, podtrzymywany przez jakiegoś lubelskiego lub podlubelskiego luminarza z jednej strony, a z drugiej przez austriackiego generała z intendentury. W dali ułani błyszczeli cynobrem i ultramaryną, suknie dziewcząt bieleły się, a chorągwie i feretrony migotały wszystkimi barwami tęczy i złotem. Ludzie śpiewali pod akompaniament orkiestry, tej z Pragi Czeskiej.

2) ze wspomnień z drugiej połowy lat dwudziestych

Najdłużej mieszkałem w Łodzi (...) u pewnej zupełnie jeszcze niestarej wdowy po adwokacie. Ze swego dość dużego mieszkania jeszcze jeden pokój odnajmowała panu W., który był dyrektorem w fabryce Poznańskiego. (...) Dyrektor W. przebył właśnie operację wyrostka robaczkowego. Nie wiem już czy rzeczywiście miał jakieś komplikacje, czy tylko tak się ze sobą pieścił, dość że (...) urlop pooperacyjny przedłużył sobie do paru miesięcy (...). Przychodziła do niego stale jego kochanka, całkiem młoda dziewczyna, którą specjalnie ubierał trochę po dziecinemu, żeby wyglądała na jego córkę. (...) Otóż, mimo tych wizyt, nudził się setnie. Wypełnić sobie czasu lekturą, jak każdy człowiek interesu, nie bardzo był w stanie. To też, gdy się dowiedział, że tak bardzo chcę nauczyć się niemieckiego, zaproponował mi bezinteresowne lekcje. (...) Dyrektor W. zaczął mi się także zwierzać (...) ze swych podbojów miłosnych (...). Na dłuższą metę byłoby to na pewno nudne. Ale (...) wkrótce pojawił się na szczęście nowy temat (...) proces arcybiskupa mariawitów, Kowalskiego.

Proces ten prowadził właściwie Zarębski, przyjaciel serdeczny dyrektora W. A że w Łodzi było największe - i jest do dziś - skupisko mariawitów, Zarębski zaczął pojawiać się w Łodzi coraz częściej, wkrótce zaś zaczął zatrudniać bezpośrednio w tej sprawie dyrektora W., który wreszcie zaczął wychodzić na miasto. Czy honorarium były tylko kolacje w restauracjach czy także i pewna gotówka - trudno mi orzec. W każdym razie zwierzenia dyrektora W. dały mi informacje z pierwszej ręki i, zapewne, rzetelne.

Ale muszę tu dla wyjaśnienia dać parę słów o późniejszych wyczynach Zarębskiego. - o jego poprzednim życiu nie wiem nic - by dać czytelnikom pojęcie o kalibrze tego businessmana. Otóż może starsi czytelnicy pamiętają pocztówki wysyłane do Piłsudskiego w czasie jego przedśmiertnej kuracji na Maderze. W szkołach, biurach, w fabrykach sprzedawano, z lekkim naciskiem, te pocztówki z podobizną Marszałka, prymitywne ale wcale nie tanie, droższe niż zwyczajne, znacznie porządniej wydane. A wysłać je mieli teoretycznie wszyscy Polacy. Wysłałi oczywiście nie wszyscy, ale zawsze... Oczywiście nikt tych wagonów makulatury na Maderę nie woził, ale nie o to chodzi. Wydanie tych pocztówek było interesem milionowym, a wydało je nie państwo ani żadne stowarzyszenie czy społeczna instytucja, lecz właśnie najzupełniej prywatnie - Zarębski. Oczywiście wielu bonzów sanacyjnych miało swój rejwach niemały z tej sprawy. Zarębski musiał się trochę zyskami podzielić. A z góry, nim interes doszedł do skutku, musiał bardzo dużo pieniędzy zarobionych na procesie Kowalskiego przepić z kim było trzeba. Ale opłaciło mu się to wszystko sowicie. Wyszedł z tego z krociowym zyskiem. Można nie przepadać za „rycerzami przemysłu”, ale trudno nie podziwiać takiego (...) rozmachu. To było uderzenie!

Raz jeszcze pośrednio skrzyżowały się nasze drogi: Z synem tego Zarębskiego odśmiewałem wojsko. Był bardzo miły, koleżeński, ani trochę nie okazywał zadatków na businessmana wysokiej klasy. Potem udało mu się przenieść do lotnictwa. Podaję ich nazwisko i te szczegóły właśnie w nadziei, że może dowiem się dzięki temu o ich dalszych losach. Zwłaszcza dalsze losy starego Zarębskiego są dla mnie - i może nie tylko dla mnie - bardzo ciekawe.

Większość moich wspomnień to są sprawy prywatne. Jeśli gdzieś tam pomyliłem się lub zagalopowałem, mniejsza o to. Ale historia mariawitów i proces Kowalskiego!(...)

Tradycje rzymsko-katolickie nie popierały angażowania się oddolnego Kościoła w przedsiębiorstwa własne. Były drobne warsztaty, czy folwarczki niektórych zgromadzeń, ale zaledwie było to tolerowane w ostatnich czasach. Wielka bankowość - to co innego. Maria Franciszka narzuciła mariawitom wręcz odwrotną tradycję. Raczej warsztaty i przedsiębiorstwa, niż wyciskanie pieniędzy z biedoty (...) W swym apogeum finansowym mariawici prowadzili, oprócz szwalni i pracowni haftów, doskonale gospodarowany folwark Felicjanów, a przy samym klasztorze w Płocku gospodarstwo ogrodnicze, obory i mleczarnie, piekarnię z wypięciem ciastek i sklepem cukierniczym, cały szereg warsztatów, których wymienić wszystkich nie potrafię, a nawet... linię autobusową. Poza tym, przy niektórych parafiach istniały pracownie i drobne przedsiębiorstwa, jak np. fabryczki wody sodowej. (...) W tak rozległej działalności było miejsce dla businessmenów. Znalazł je więc dla siebie i przyjaciół dyrektora W. z Łodzi - Zarębski. Niestety nie tylko nie znam jego dawnych kolei życia, ale nawet nie wiem kiedy „poczuł się” mariawitą. Pole do działalności miał duże, bo księża mariawicy, poza Kowalskim, nie bardzo się znali na interesach i do tego rodzaju pracy nie rwali się wcale. Przed procesem Kowalskiego Zarębski był dyrektorem piekarni-ciastkarni, a syn jego, ten z którym później po latach odśmiewałem wojsko, mieszkał w przyklasztornym internacie.

Zaczęły się słynne, obśmiane, małżeństwa mistyczne. (...) Oczywiście nie wszyscy mariawici byli tym zachwyceni. (...) Odstąpienia od ruchu - jeśli były - były raczej rzadkie. Dopiero Zarębski po latach, gdy sobie zapewnił potrzebne fundusze, zorganizował protest na dużą skalę. Cóż... nigdy nie uwierzę, że tych funduszy dostarczył mu ktoś inny, niż episkopat rzymsko-katolicki.

Samo rozdmuchanie całej historii w prasie! Brukowce szukały sensacji, gdzie się da, a ta sprawa dobrze im podpadała, ale, choć zaczynał się wielki kryzys światowy i nie brak było istotnych sensacji, nie tylko brukowce zaczęły rozpisywać się o mariawitach szeroko, na całe szpalty, prawie codziennie, nim się jeszcze sam proces rozpoczął. To także coś niecoś kosztowało. Znacznie więcej kosztowało zorganizowanie jakiegoś schroniska dla zbiegłych z Płocka siostr. Trzeba było im zapewnić nie tylko jakieś lokum i wyżywienie, ale i zajęcie, jakąś pracę. Były to przecież dziewczyny od młodości związane z klasztorami, w cywilnym, świeckim życiu nie bardzo umiające się obrócić, urządzić. Mimo, że kryzys dopiero się zaczynał, o jakąś pracę było już bardzo trudno. Wymagały jakiejś opieki i tę opiekę zorganizował im Zarębski wraz ze swoją żoną.

A dalej trzeba było jakoś zmontować proces, a że podstawy prawne do wyroku skazującego Kowalskiego były dość mikre, adwokatom także trzeba było gotówką z góry dobrze zapłacić. To także załatwiał Zarębski.

I prowizje jego od tych wszystkich wydatków musiały być nie liche, jeśli zostało mu dosyć, by w kilka lat potem miał czym finansować „wielkie uderzenie” swego życia: pocztówki do Piłsudskiego na Maderę.

Kowalski został skazany na pięć lat więzienia. I od razu po wyroku prasa jakby wzięła wody w usta. No tak, oczywiście każda sensacja przestaje być sensacją, gdy się ją długo międli. Ale po wyroku zaczęły się dziać sprawy naprawdę ciekawe, o których w prasie było już głucho. Wyraźnie gdzieś komuś - i to nie było komuś - zależało na tym, by tej sensacji łeb ukroczyć.

Leszek Radzikowski

¹ Autor się myli. Jasna Góra była jednym z nielicznych, ale nie jedynym klasztorem działającym po Powstaniu Styczniowym w Królestwie Kongresowym. (przypisek redakcji)

EMIL ZEGADŁOWICZ MARIAWITĄ ?!

Książka Krystyny Kolińskiej¹ sugeruje, że Emil Zegadłowicz, w ostatnim okresie swego życia był mariawitą. Jak bowiem inaczej tłumaczyć twierdzenie, że tenże pisarz-skandalista z dwudziestolecia międzywojennego zawarł drugie małżeństwo w Kościele Mariawitów. Ślub się miał odbyć - jak wynika z treści książki - w 1939. roku w Płocku. Autorka dodaje, że ten ślub nie miał prawnego znaczenia. Informacje podane przez panią Kolińską wymagają oceny i analizy pewnych faktów.

Po raz pierwszy o „mariawickim ślubie” Emila Zegadłowicza wyczytałem w książce Edwarda Kozikowskiego². Kozikowski to główny filar *Czartaka*, jak chce tego Kolińska (str. 77). Dla mniej zorientowanych podam, że grupa *Czartak* współzałożona przez Zegadłowicza (*Zbór poetów w Beskidzie*) w okresie po I Wojnie Światowej propagowała tendencje regionalistyczne nawiązując do ludowo-balladowych tradycji polskiego romantyzmu - jak to określają hasła encyklopedyczne. Kozikowski ogromnie pofantazjował powołując się na różnego rodzaju oświadczenia samego Zegadłowicza, jak i jego rodziny. Objawiło się to szczególnie w informacjach dotyczących mariawickiego ślubu Zegadłowicza z Marią Koszyc-Szolajską. Dodam już tylko gwoli ścisłości, że tezę o tym ślubie i związanymi z nim erotycznymi przeżyciami powtórzyła niedawno Ada Filipowicz w czasopiśmie *Kobieta. Mężczyzna i miłość*³. Analizując te teksty uważam, że Ada Filipowicz dość dokładnie (choć bez podania źródła) powtarza zmyślenia opisane przez Kozikowskiego, a Krystyna Kolińska czyniąc podobnie uwalnia jedynie swą relację od scen obscenicznych związanych z rzekomymi płockimi pokładzinami poślubnymi Zegadłowicza i Koszyc przedstawionymi w relacji Kozikowskiego. Abstrahując od zarzutu nie powoływania się na czyjeś wykorzystane teksty, dokonam oceny tego, co Filipowicz i Kolińska, bazując na opisach Kozikowskiego, wprowadziły do świadomości czytelników.

Jest bezspornym faktem historycznym, że Starokatolicki Kościół Mariawitów (taka wtedy obowiązywała nazwa) posiadał w I I Rzeczypospolitej prawne uznanie na terenie dawnego tak zwanego Królestwa Kongresowego. Nie wchodząc w szczegóły należy podnieść, że w tamtym okresie duchowni mariawicy prowadzili księgi metryczne urodzeń, ślubów i zgonów, a sprawy rozwodowe wiernych prowadziła właściwa władza duchowna według zasad wyznaniowych z uwzględnieniem praw cywilnych⁴. W tej sytuacji trzeba się zgodzić, że ślub mariawicki to nie egzotyka i „ślub dla pozorów” ale czynność rodząca skutki prawne. W konsekwencji, ponieważ Emil Zegadłowicz był już żonaty, a zdaje się, że Maria Koszyc-Szolajska także nie miała uregulowanego statusu kobiety stanu wolnego (co by wynikało z książki Kolińskiej zwłaszcza ze str. 200.-204.), oboje powinni byli - przed zawarciem mariawickiego ślubu - rozwiązać swoje poprzednie małżeństwa. Innego wyjścia nie było, szczególnie że duchowni mariawicy jako spełniający rolę urzędników stanu cywilnego, byli zobligowani do przestrzegania obowiązujących przepisów. Ich naruszenie skutkowało odpowiedzialnością karną. W okresie przed II Wojną Światową najłatwiejszą drogą w Polsce do rozwodu i zawarcia nowego małżeństwa w trudnych sytuacjach życiowych była zmiana wyznania. Odwołam się choćby do przypadków Józefa Piłsudskiego i Stefana Żeromskiego. Aby więc Emil Zegadłowicz mógł zawrzeć związek małżeński z Marią Koszyc-Szolajską musieli oboje zmienić wyznanie, stać się mariawitami, uzyskać rozwody poprzednich swych związków w Kościele Mariawitów i dopiero wtedy się pobrać.

Idąc śladem informacji zawartych w książce Kozikowskiego przesyłałem w Płocku mariawickie księgi metryczne (stanu cywilnego) i nie znalazłem śladu ślubu Zegadłowicza nie tylko z Marią Koszyc ale i z żadną inną kobietą. Brak też było w dokumentacji mariawickiej wzmianek o postępowaniu rozwodowym w sprawie małżonków Zegadłowiczów lub Szolajskich. Dwukrotnie także usiłowałem w Gorzeniu rozmawiać na ten temat, ale nieszczęśliwie trafiałem na remont muzeum zegadłowiczowskiego. Zresztą w tej sprawie istotne są dokumenty, a nie rodzinne przekazy, jak chce tego Kozikowski. Wobec tego teza, że Emila Zegadłowicza łączył z Marią Koszyc-Szolajską ślub, jest fikcją. Stosunek, który ich łączył nazywa się w prawie *konkubinatem*, a nie *bigamią*, jak nieprawdziwie twierdzi Kozikowski i w jakimś sensie powtarza to Kolińska.

Od poety, choćby i wybitnego, ale „spadkobiercy” romantyków nie wolno żądać ścisłości wystawiania się ani prawniczej poprawności, ale od biografki, nawet beletryzującej życiorys pisarza, wymaga się pewnej precyzji. Ten sam zarzut trzeba postawić pani Filipowicz, która nie ma wątpliwości, że Zegadłowicza i Koszyc łączył ślub mariawicki. Muszę więc zmartwić Krystynę Kolińską, że ani bohater jej książki, Emil Zegadłowicz ani Maria Koszyc-Szolajska mariawitami nie byli i ślubu mariawickiego nie zawarli. W ten sposób pada jeszcze jeden mit o Zegadłowiczu, tym razem o jego związkach z mariawitami, stworzony zdaje się przez samego pisarza pragnącego rozgłosu i skandalu. Cóż innego bowiem, jak nie te chęci, spowodowały, że przekazał brednie o swych „poślubnych ekscesach seksualnych” w bliskości ołtarza płockiej Świątyni mariawickiej.

Warto się zastanowić skąd się w życiu Zegadłowicza wzięły motywy mariawicki tak uporczywie i bezkrytycznie powtarzany przez ludzi pióra. Zabawię się w tym przypadku w detektywa i sądzę, że moje dywagacje będą bardziej umotywowane niż wspomniane stwierdzenia jego biografów. Z lektury Kolińskiej wynika, że Zegadłowicz był w pewnym sensie mitomanem, zapatrzonym w siebie i pragnącym, aby cały świat, obojętne z jakich powodów, kręcił się wokół niego. Czytając, ciągle czułem człowieka, któremu się dawał we znaki brak ludzkiego uznania. Był też człowiekiem pobudliwym, owładniętym erotomanią. Nic mi do tego. Rozumiem przywary ludzkie i nie osądzam. Widzę natomiast, że swoisty egocentryzm pisarska-skandalisty powodował, że dla przysporzenia sobie osobliwie pojętej „sławy” nie cofał się przed żadną konfabulacją. W I I Rzeczypospolitej wybuchła sterowana przez kościół Rzymskokatolicki nagonka na ruch mariawicki. Ten fakt ostatnio znalazł nawet potwierdzenie w pracach autorów rzymskokatolickich⁵. Nagonka wyraziła się nie tylko w procesach wytaczanych ówczesnemu zwierzchnikowi Kościoła Mariawitów arcybiskupowi M. Michałowi Kowalskiemu (między innymi oskarżanemu o bluźnierstwa i czyny niemoralne) i innym duchownym mariawickim, ale i w stwarzaniu szczególnej atmosfery wokół mariawityzmu. Wiele złego, nieprawdy napisano w prasie o mariawickich rozwiązłościach, a nawet Julian Tuwim, wiedzący co znaczy nagonka na człowieka, nie omieszkał zabrać głosu w tej sprawie, choć zrobił to w sposób najbardziej kulturalny⁶. Te rewelacje ówczesnej prasy endeckiej wykorzystał po czasie Emil Zegadłowicz. W roku 1939, gdy się powoływał na swój rzekomy ślub mariawicki, nagonka antymariawicka ucichła już z różnych powodów i pisarz musiał wyteńczyć pamięć, aby z sensacyjnych wycinków prasy sprzed lat zbudować obraz uczestnictwa swojego i Marii Koszyc-Szolajskiej w rzekomych mariawickich rozwiązłościach.

Ktoś ze współczesnych koryfeuszów sztuki (Franciszek Starowieyski?) powiedział że erotomania i odstępstwa od normy seksualnej rodzą się, gdy maleją siły witalne człowieka. Ja zaś uważam, że plotka się rodzi albo ze złej woli (*audacter caluminare, semper aliquid haeret* - szkalujcie śmiało, zawsze coś przylgnie), albo z lenistwa i pójścia na tak zwaną łatwiznę przez piszących na określony temat. To także jest znana ludzka przywara.

Ignacy Stobiecki

¹Krystyna Kolińska - *Zegadłowicz, podwójny żywot Srebrnypisanego* - Warszawa 1999

² Edward Kozikowski - *Portret Zagadłowicza bez ram. Opowieść biograficzna na tle wspomnień osobistych*, - Warszawa 1966 str. 518.-519.

³ Ada Filipowicz - *Demon seksu* - artykuł w ulotnym czasopiśmie *Kobieta, Męczyzna i miłość* Nr.3 z 1996 r., str. 19.

⁴ *vide*: Henryk Świątkowski - *Wyznania religijne w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem ich stanu prawnego* - Warszawa 1937, str. 207. i następne.

⁵ *vide*: Edward Warchol - *Starokatolicki Kościół Mariawitów w okresie Rzeczypospolitej* - Sandomierz 1997 str. 125

⁶ Julian Tuwim - *Bogobojnej macierzy polskiej dyskurs z córką satanistką* - w *Jarmark Rymów* - Warszawa 1991 str. 125

Z OTWARTYMI OCZAMI

(fragmenty)

Jestem nagi człowiek w morzu - stąpający po twardym dnie - któremu morze sięga zaledwie po kolana.

Jestem człowiek nagi wśród ludzi i trochę się wstydzę i krępuję tą swoją nagością - bo nie jestem jeszcze doskonały.

Ale przecież niewiele sobie z tego robię - bo wiem, że wszyscy tacy jesteśmy - jeszcze niedoskonali.

Jest mi trochę chłodno nagiemu w tej dużej sali jadalnej w jakimś pensjonacie czy sanatorium.

I zabrakło dla mnie krzesła. Ale jakiś młodzieniec - również jak i ja nagi - pobiegł po krzesło dla mnie.

Jest przyciszony gwar i uśmiech wewnętrzny.

Jest dobrze - bo wszyscy są dobrzy.

Bo wszyscy są jednym.

*

Jest korytarz w szpitalu wyścielany chodnikiem z linoleum.

Sanitariusze pchają wózki z chorymi na zabiegi.

Kogoś wiozą na operację. Ale ten brat mój nie wie, że nic mu nie grozi - Że się najwyżej obudzi w trochę innym świecie.

I będzie się bardzo dziwił, że żyje choć ciało jego zakryto prześcieradłem. a on się temu przygląda.

Lecz rychło oswoi się z nowym otoczeniem.

Ludzie - czemu płaciecie?

*

Co robić ma człowiek doskonały między niedoskonałymi? Jest jak widzący wśród ślepych.

Jego położenie jest trudne. Musi być cierpliwy i wyrozumiały.

Nie może ich nauczyć doskonałości. Nikt nikogo nie może nauczyć doskonałości ani nawet do jej zdobywania zachęcić.

A przecież oni go swoją niedoskonałością zabijają.

Dopóki się oczy ich nie otworzą - dopóki nie rozumieją, że zabijają tym siebie.

I wtedy już nikt nie powie: w imię czego mam być doskonały?

Komu będzie się chciało być wciąż jeszcze ślepym, kiedy świat taki piękny i woła o poznawców i twórców?

Dlatego warto być doskonałym.

*

Śmierć?

Ach, cóż to jest śmierć? Przejście do innego pokoju, do którego drzwi nawet nie są bardzo szczelnie zamknięte - tylko nikomu się nie chce przejść przez nie za życia.

Chce mi się tańczyć i śpiewać kiedy myślę o śmierci. O, jakże jest piękna.

Lecz to szczęście i piękno musi przyjść samo we właściwym czasie.

I nie trzeba się bać niespodziewanej. Ta jest może najlepsza - jak cudowna przygoda.

O jedno się musisz zawsze, przyjacielu, starać - o to by się jeszcze za życia niewidzialnie uskrzydlić.

A potem? - skrzydła! - jak znalazł - po całej pięknej Ziemi - gdzie chcesz.

A może i gdzie indziej.

*

Zobaczyłem ścianę więzienia „z profilu” - mur z czerwonej cegły - i nagle u jego dołu niby furtka się niska otwarła, która okazała się gilotyny wylotem. Tuż zaraz wysunęła się deska na zewnątrz, a na niej człowiek związany, leżący na wznak z odrzuconą w tył głową.

I oto spadł nóż gilotyny na szyję jego i głowa potoczyła się po bruku podskakując jak kaczan kapusty. Lecz nie uczyniło to na mnie wielkiego wrażenia, albowiem ujrzałem jak nad pozbawionymi głowy zwłokami stanęła postać mgława i postąpiwszy kroków parę od miejsca kaźni obejrzała się poza siebie, wzrok ku niemu kierując.

I pokiwał duch głową, odwrócił się i iść począł. Lecz raz jeszcze się ku więzieniu obrócił i wielkim znakiem krzyża je pobłogosławił.

I oto stanął nagle ktoś przy nim bardzo promienny, aż bił blask mocny od głowy i białej szaty jego, płaszcza kształtem go okrywającej. I otoczył szyję straconego ramieniem, szatą go swoją osłonił i tak razem odeszli.

I powtórzyła się scena stracenia z innym skazańcem. Lecz ten, gdy życia go pozbawiono, usiadł na skraju gilotyny i gryzł palce w rozpacz i pięściami więzieniu wygrażał. I pojawiły się szare maskary i miny doń nieprzystojne stroiły chichocząc. I zerwał się i pobiegł gdzie oczy poniosą. A one biegly za nim wołając”

- Zemścij się, zemścij!

*

Stałem na podwyższeniu wyniosłym, jakoby na kwadratowym tarasie wielkiej budowli na wzgórzu pośród miasta mi nieznanego stojącej.

U stóp moich roztaczała się szara panorama miasta lekką mgłą osnuta i uszu moich dochodził niewyraźny, głuchy jego szum. Warczał gdzieś w niebie samolot i dzwon słychać było kościelny.

I nagle stało się jakoby obraz ten cały w okrąg mnie rozpostarty dokonał w mgnieniu oka obrotu o sto osiemdziesiąt stopni - jak to się widuje na ekranach, tak iż co było do tej chwili przede mną, okazało się za moimi plecami lub w ogóle znikło.

I ujrzałem obraz inny zupełnie. Zalany słońcem z bezchmurnego nieba - biały gród marmurowy - pełen świątyń i pałaców o kolumnowych portykach. I było zupełnie cicho, jakby życie w tym grodzie zamarło w słonecznej powodzi pod modrym niebem południa.

I myślałem: czy cywilizacje likwidują się same (czego się Lem w „Sumie technologii” obawia), jako i tej grozi, w której dzisiaj żyjemy? Co ujrę, gdy znów o sto osiemdziesiąt stopni dokona się obrót? Może puszczyć dziewiczą? A może pustynię, pod której piaskiem gruz spoczywa i żużel i wykopaliska, których już nikt nie wykopie?

Tamto była tęczywa bańka mydlana, ukazująca *piękno tego, co zawsze być może dla wszystkich*. Lecz ludzi nie stać na to, by się jej pięknem zachwycić i powiedzieć namiętnie i władczo:

-TRWAJ WIECZNIE I TERAZ.

Tam z pasją myślano o tym jak zdobyć i dać ludziom Prawdę i Piękno i Dobro; tu - z nie mniejszą - jak ludziom odebrać Ziemię i Myśl i Wolność - i sobie to wszystko przywłaszczyć pod jakim bądź pseudonimem - objąć nad wszystkim tym władzę.

Jest to panhumanizm na wywrót - o sto osiemdziesiąt stopni.

Gdzie jesteś, człowieku?

Jerzy Znamierowski

Recenzje

NIEPRZEMIJAJĄCY FUNDAMENTALIZM

Pragnę się podzielić z czytelnikami refleksjami, jakie mi się nasunęły po przeczytaniu książki Leona Christiani „*Znaki obecności szatana we współczesnym świecie*”¹. Do kręgu szatańskich oddziaływań włączył autor między innymi mariawitów. W rozdziale noszącym tytuł „*Lucyfer i jego sprzymierzeńcy*” przedstawia na czterech stronach książki osobliwą genezę powstania mariawityzmu. Przyczyny powstania tego ruchu upatruje w rzekomych związkach Mateczki Kozłowskiej z niejakim księdzem Boullanem scharakteryzowanym jako człowiek opętany przez szatana, pogrążony w grzechu i w rozpuście.

Insynuacje zawarte w książce wydanej w roku 1995, czyli w czasie oficjalnie lansowanej idei otwartości i rzymskokatolickiego ekumenizmu są żenujące. Jeżeli nieobiektywizm i wrogość można w ogóle stopniować, to nawet sprawy mariawickie widziane oczami ks. Edwarda Warchoła, są w porównaniu do omawianej pozycji „wysublimowaną krytyką”.

Zgodnie z poglądem Christianiego założycielami mariawityzmu kierował szatan. Christiani określa Kościół Mariawitów mianem pseudomistycznej sekty. Wymienieni jako założyciele Felicja Kozłowska i ks. Jan Kowalski w latach 1888-1893, to jest przed powstaniem Dzieła Wielkiego Miłosierdzia wiele czasu spędzili - jak podaje autor - >>> w kręgu nieciekawych osób<<. Ten ogólnik ma „wyjaśnić” źródła i inspiracje objawień Mateczki. Dla autora książki „nieciekawe osoby” to wszystkie, które wiążą się z formacją

duchową Mateczki i późniejszego pierwszego biskupa mariawitów. Co w tym ujęciu sędzić o błogosławionym Honoracie Koźmińskim?

Wiemy, że pojawienie się idei mariawickich było skutkiem moralnego zepsucia i utraty pobożności ówczesnego kleru rzymskokatolickiego oraz komercjalizacji posług religijnych. Analizując kondycję rzymskokatolickiego kleru na terenie Królestwa Kongresowego bezstronny badacz bez trudu dostrzegłby po której stronie istniało zło. Upowszechnianie natomiast przez mariawitów zaniechanych form pobożnościowych takich jak: adoracja Przenajświętszego Sakramentu, częsta Komunia Święta, zaakcentowanie modlitwy różańcowej i kultu Matki Boskiej Nieustającej Pomocy oraz Jej obrazu, nie sposób nazywać działalnością szatańską

Ksiądz Jan Kowalski i >>Jego przyjaciel Prokniewski<< (Przypuszczalnie idzie tu o ks. Romana Próchniewskiego, późniejszego biskupa M.Jakuba) należeli - według Christianiego - do zakonu franciszkanów

Przestrzeganie przez pierwszych mariawitów I Reguly świętego Franciszka nie czyniło ich automatycznie franciszkanami. Ks. Jan Kowalski odebrał formację w Warszawskim Seminarium Metropolitalnym, ukończył też Akademię Duchowną w Petersburgu. Do Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów wstąpił jako ksiądz diecezjalny, a nie franciszkanin. Podobnie duchownym diecezjalnym był ks. Roman Próchniewski. Mateczka, która zmarła 23. sierpnia 1921. roku (a nie jak podano w książce w roku 1922) również nie była franciszkanką. Wstąpiła w roku 1883 do tak zwanego *Przytuliska*, bezhabitowego zgromadzenia zakonnego założonego przez Ojca Honorata Koźmińskiego. Dopiero założone przez nią Zgromadzenie Sióstr Ubogich Świętej Matki Klary (późniejsze Zgromadzenie Sióstr Mariawitek) opierało się na II Regule świętego Franciszka.

Według Christianiego siostra Felicja Kozłowska >>ogłosiła swoje prorocтва<< w roku 1894, zaś ekskomunika została nałożona na mariawitów w roku 1903.

Pierwsze objawienia Dzieła Miłosierdzia nastąpiły - jak wiadomo - 2. sierpnia 1883. roku. Otrzymująca je Maria Franciszka nie określała siebie jako prorokini (ani nie używała tego określenia jej zwolennicy). Nie od razu też ogłosiła światu treści objawień ani nawet samego faktu ich otrzymania. Z początku wiedział o nich tylko Ojciec Honorat, potem kolejno dowiadywali się pierwsi członkowie Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów i ordynariusze diecezji, w których działali mariawici. Publiczne ogłoszenie objawień - to dopiero okres pierwszego potępienia Dzieła Miłosierdzia Bożego przez Watykan (encyklika *Tribus circiter*) 5. kwietnia 1906. roku, *ekskomuniki większej* (tak zwanej *klątwy papieskiej*) z dnia 5. grudnia tegoż roku i formowania odrębnego Kościoła Mariawitów.

Autor nie może podważyć istnienia w Kościele Mariawitów w pełni ważnej sukcesji apostołskiej w wyniku sakry biskupiej udzielonej w roku 1909. księdzu Janowi Kowalskiemu przez Kościół Starokatolicki Holandii. Gdyby więc przyjąć sposób rozumowania autora, to należałoby uważać, że w Utrechcie udzielano wtedy sakr biskupich przywódcom „sekt”.

W sugerowanym przez autora uproszczeniu, mariawityzm jest >>podszrywającym się pod wspólnotę ortodoksyjną satanizmem<<. Dziwne, że nikt z wydawców nie затroszczył się aby sprawdzić chociażby zewnętrzną prawdziwość podawanych faktów historycznych.

Faktem dającym wiele do myślenia jest uzyskanie przez tę książkę w roku 1995 kościelnego *imprimatur* rzymskokatolickiej Gdańskiej Kurii Metropolitalnej. Czy można to odebrać jako krok zmierzający do zacieśnienia więzi ekumenicznych kościoła rzymskokatolickiego z mariawitami?

Krzysztof Szykowski

¹ Leon Christiani - *Znaki obecności szatana we współczesnym świecie*. Wydawnictwo *Exter*, Gdańsk 1995

UWAGA REDAKCJI: Rzymskokatolicki ksiądz, prof.dr hab. Henryk Seweryniak indagowany w ubiegłym roku w tej sprawie wyjaśnił, iż *imprimatur* dla tej książki było spowodowane nieuwagą cenzora kurii, nie dotarła jednak dotąd do nas wiadomość, aby owo *imprimatur* zostało oficjalnie cofnięte czy w inny sposób ogłoszone jako pomyłkowe. Czekamy.

OPINIE PRASOWE O MARIAWITACH

czyli czegoż to nie można napisać !

W czasopiśmie i prasie codziennej piszą o nas ostatnio dość często. Czasem przyjaźnie, czasem po prostu chłodno i obiektywnie, czasem z fanatyczną nienawiścią. Zamieszczamy w *Pracy* recenzje z niektórych takich artykułów, jeśli ich treść lub przynajmniej forma nadaje się do dyskusji. Czasem pojawiają się również prasowe informacje z którymi wprawdzie polemizować szkoda czasu, ale o których warto wiedzieć, że się pojawiają i warto się zastanowić czemu w zamyśle autorów i redaktorów mają służyć. Przytoczę dwa różnego typu przykłady z ostatnich miesięcy.

Zasłużona skądinąd *Gazeta Wyborcza* w swoim dodatku *Magazyn* Nr 46.(350.) z dnia 18.XI.1999 zamieszcza na str. 22.-27. bogato ilustrowany reportaż o mariawitach „*Nasi bracia, nic poza tym*”. Fotografie Jacka Marczewskiego są ładne, niektóre mają nawet wartość artystyczną. Błędy rzeczowe można autorce reportażu Iwonie Boratyn wybaczyć. To że donosi, iż w Płocku >> *Po...ornatach tkanych jedwabnymi nićmi zostały tylko fotografie* <<, że opisując Mszę Świętą ludową pisze, że gdy ołtarzem jest dłoń >> *Na niej stawia się kielich mszalny...* <<, czy gdy myli na str.25. dwu księży Kowalskich (nie ona jedna myli; do tej sprawy powrócimy w jednym z następnych zeszytów), są to pomyłki w istocie drobne. Omawiając sensacje o „sakralnej rozpuście” w okresie międzywojennym w mariawickim klasztorze, pisze wyraźnie, że to nie jej zdanie, ale po prostu powtarza to, co wówczas głosiła prasa nieprzyjazna mariawityzmowi. Fakty podaje więc w większości prawdziwe.

Ale... reportaż napisany jest w takim duchu, że czytelnik nie tylko dochodzi do wniosku, iż mariawityzm się kończy, zamiera, ale co gorsza, że dziś reprezentują go ludzie nie całkiem mądrzy. Ot nasi bracia, pocziwe, naiwne głuptaski, nic poza tym...

Czy jest to świadomy zamysł autorki reportażu, czy też tak „samo wyszło” wskutek lenistwa dotarcia do żywych nurtów duchowego, mariawickiego życia współczesnego? W każdym razie, gdy zawodzi broń otwartych ataków na mariawityzm, podejście formalnie życzliwe, traktujące mariawitów serdecznie, z pobłażliwym uśmiechem wyższości, stanowi nową broń w walce z nimi, tworzy nowego rodzaju szkodzącą opinię o mariawitach, usiłując też podważyć w samych mariawitach wiarę w rozwój i sens ich idei. Reportaż w „*Magazynie*” nie jest jedynym okazem tej nowej taktyki. Zdajmy sobie sprawę z jej istnienia.

Niektórzy uważają jednak, że szkoda wysiłku na tak wymyślny atak. Że zamiast się trudzić reportażami łatwiej przepisać coś z dawnej prasy, a potem popatrzeć w sufit i napisać to, co się wylegnie w głowie. Oto w numerze 48 (497) „*Najwyższego Czasu*” z dnia 27. listopada 1999. roku w dziale „Publicystyka” na str. XXIV-XXV ukazał się artykuł niejakiego Ricka Agona pod tytułem „*Związek Mariawitów*”. Składają się nań sensacyjne „ostatnie wiadomości” z gazet... grubo sprzed pół wieku oraz własne komentarze autora.

Między innymi czytamy tam, że w Kościele Mariawitów >> *W 1928 r. wprowadzono kapłaństwo kobiet, a wkrótce potem zniesiono sakramenty i rozpoczęto przygotowania do likwidacji Mszy Świętej i instytucji kapłaństwa.* <<. Dalej autor sugeruje, że w ten sposób mariawici zostali doprowadzeni >> *do arianizmu, czy raczej jego współczesnej odmiany - unitarianizmu. Demokracja bezpośrednia, brak kapłanów, brak Ofiary - z całego Kościoła zostaje grupa znajomych, którzy mają zwyczaj wspólnie czytać Pismo Święte. a potem o nim dyskutować. Nie ma obowiązku wyciągać z tej lektury konkretnych wniosków, nie narzuca się jednolitej interpretacji, nie ma dogmatycznego „balastu”. Czyli totalne „róbta, co chceta”* <<. Komentarza do tych bredni nie potrzebuje nikt, kto choć raz przez pomyłkę zaszedł na nabożeństwo do kościoła mariawickiego.

Od dziennikarza który pisze o Capri, wymaga się na ogół, aby kiedyś tę Capri odwiedził, od sprawozdawcy sejmowego - aby choć raz był na sali obrad sejmowych, od publicyisty muzycznego - aby wysłuchał choćby jednego koncertu. Nie można wykluczyć, że być może pan Agon widział kiedyś jakiegoś mariawitę, ale - jak widać - z nim nie rozmawiał. Aby kogoś opluć nie trzeba go znać.

brat Paweł

ZMIANA ZASAD WYDAWANIA I PRENUMERATY NASZEGO PISMA

Drodzy prenumeratorzy!

W roku ubiegłym wydaliśmy pięć zeszytów naszego pisma, a na ten rok przewidywaliśmy sześć zeszytów. Pismo stawało się pomału faktycznie dwumiesięcznikiem. Zarazem ponad 1/3 opłaconej przez Was prenumeraty szło ostatnio na koszty opakowania i przesyłki pocztowej. Opłaty pocztowe rosły szybciej niż ceny druku, należało się spodziewać, że w niedługim stosunkowo czasie dorównają zachodnioeuropejskim taryfom pocztowym, czyli wzrosną jeszcze stopniowo od 40% do 60%. Przeprowadziliśmy kalkulację: przy obecnym systemie wydawania pisma, mielibyście rocznie 6 zeszytów z gwarantowanymi 20 stronicami tekstu (zeszyty obszerniejsze biorą się z darowizn naszych przyjaciele), czyli 120 stronic. Za to płacilibyście w ciągu roku półtorej 4-zeszytowej prenumeraty czyli 1,5 x 12 zł = 18 zł. Ale w związku podwyżką od lutego 2000.r. taryfy pocztowej i tak musielibyśmy podnieść wysokość prenumeraty. Zamiast tego wprowadzamy następującą zmianę. W miejsce dotychczasowych zeszytów przynajmniej 20-stronicowych, będziemy wydawać obszerniejsze, przynajmniej 32-stronicowe - (oczywiście jeśli nadal będziemy otrzymywać zasiłki wydawnicze będą się zdarzać zeszyty obszerniejsze, częściowo fundowane, jakim jest na przykład obecny - 40 stronicowy). Będziemy je wydawać (nie częściej niż) 4 razy w roku. Zarazem podnosimy prenumeratę redakcyjną do 16 złotych za 4 kolejne zeszyty. Za tę szesnaście złotych w ciągu roku każdy otrzyma 4 zeszyty po 32 strony czyli 136 stronic druku. A więc w stosunku do objętości, cena *Pracy* maleje, mimo podniesienia się wszystkich kosztów wydawniczych. W ciągu roku wydacie teraz na nią o 2 zł. mniej pieniędzy niż wydalibyście przy dotychczasowym systemie prenumeraty.

Zdajemy sobie sprawę, że jest dogodniej otrzymywać mniejsze zeszyty co dwa miesiące, niż nieco większe raz na trzy, ale wiemy też, że większość

naszych prenumeratorów musi się liczyć z groszem. Po kilkumiesięcznych dyskusjach, a ostatecznie po ogłoszeniu nowej taryfy pocztowej zdecydowaliśmy się na ten krok. Prosimy więc przyjąć do wiadomości:

-Od marca 2000.roku zeszyty Pracy grubieją.

-Od marca 2000.roku prenumerata redakcyjna wzrasta do 16 złotych za 4 kolejne zeszyty. Dotyczy to wpłat dokonywanych od marca 2000.r

Prosimy uprzejmie o zrozumienie konieczności naszego kroku.

-Oczywiście wszyscy, którzy opłacili już prenumeratę wcześniej (przed 29. lutego 2000.r), będą otrzymywać, aż do jej wygaśnięcia, kolejne zeszyty bez potrzeby jakiegokolwiek dopłaty.

Redakcja Pracy nad sobą